

## 28. Z PRETORIUM NA KALWARIE

*Napisane 26 marca 1945. A, 11633-11665*

[por. Mk 15,20, J 9,17]

Po swoim skazaniu Jezus stoi, strzeżony przez żołnierzy, oczekując na krzyż nie dłużej niż pół godziny, być może jeszcze mniej. Potem Longin, obarczony kierowaniem egzekucją, wydaje rozkazy.

Zanim jednak wyprowadzono Jezusa na zewnątrz, na drogę, aby dać Mu krzyż i wyruszyć w drogę, Longin spojrzął na Niego dwa lub trzy razy, z ciekawością już zabarwioną współczuciem. Spojrzął jak ktoś, dla kogo pewne rzeczy nie są nowością. Podszedł do Jezusa z żołnierzem, ofiarowując Mu pokrzepienie: kubek wina, jak sądzę, bo wlewa z prawdziwej wojskowej manierki płyn koloru jasnoróżowego.

«To Ci dobrze zrobi. Musisz być spragniony i na dworze jest słońce, a droga daleka.»

Jezus odpowiada:

«Niech Bóg wynagrodzi cię za litość, ale nie pozbawiaj się tego.»

«Przecież jestem zdrowy i silny... a Ty... nie odmawiam sobie... A chętnie to zrobię w tym wypadku, aby Cię pokrzepić... Jeden łyk... aby mi pokazać, że nie nienawidzisz pogan.»

Jezus już nie odmawia i pije łyk płynu. Ma rozwiązane ręce, nie ma już trzciny ani chlamidy, więc może to Sam uczynić. Potem odsuwa [manierkę], choć napój zimny i dobry przyniosłby ulgę w gorączce, która już ujawnia się w zaczerwienieniach, rozpalających Jego blade policzki i w Jego wargach wysuszonych i spękanych.

«Weź. Weź. To woda i miód. Wzmacnia. Gasi pragnienie... Budzisz we mnie litość... tak... litość... To nie Ciebie należałoby zabić spośród Hebrajczyków... Cóż!... Ja Ciebie nie nienawidzę... i postaram się, żebyś nie cierpiał bardziej niż to konieczne.»

Jezus jednak już nie pije... a rzeczywiście jest spragniony... To straszliwe pragnienie tych, którzy utracili krew i gorączkujących... *Wie, że to nie jest napój odurzający* i chętnie by się napił. *Nie chce jednak mniej cierpieć.* Wiem – tak jak pojmuję, że to, co mówię jest dzięki wewnętrznemu światłu – iż bardziej niż woda z miodem umacnia Jezusa litość Rzymianina.

«Niech Bóg ci wynagrodzi błogosławieństwami za to wsparcie» – mówi. I potrafi jeszcze się uśmiechnąć... bolejącym uśmiechem Swych ust opuchniętych, zranionych. Porusza nimi z trudnością także dlatego, że pomiędzy nosem a prawą kością jarzmową jest silna opuchlizna – [spowodowana przez] mocne uderzenie drągiem, które otrzymał na wewnętrznym dziedzińcu, po biczowaniu.

[por. Łk 23,32] Przybywa dwóch łotrów, z których każdy otoczony jest jedną dekurią żołnierzy. To godzina wymarszu. Longin wydaje ostatnie rozkazy.

Centuria rozstawiona w dwóch szeregach, w odległości trzech metrów od siebie, wychodzi na plac, gdzie druga centuria utworzyła kwadrat dla odepchnięcia tłumu, aby nie przeszkadzał pochodowi. Na małym placu znajdują się już ludzie na koniach: dekuria kawalerii z młodym podoficerem, który dowodzi. Mają oznaki [rzymskie]. Jakiś żołnierz idący pieszo trzyma za uzdę śniadego konia centuriona. Longin wsiada na siodło i zajmuje swe miejsce na przedzie, w odległości dwóch metrów od jedenastu kawalerzystów.

[por. J 19,17] Przynoszą krzyże: dla dwóch łotrów – krótsze; dla Jezusa – o wiele dłuższy. Szacuję, że część pionowa ma nie mniej niż cztery metry. Widzę, jak przynoszą już cały krzyż.

Czytałam na ten temat... kiedy [jeszcze mogłam] czytać... przed wielu laty, że krzyż został uformowany na Golgocie i że podczas drogi skazańcy nieśli na ramionach dwie belki. To możliwe, lecz ja widzę krzyż prawdziwy, już wykonany, solidny, z ramionami doskonale połączonymi z główną belką i dobrze umocowanymi gwoździami i śrubami. Jeśli pomyśli się, że krzyż musiał wytrzymać wielki ciężar, jakim jest ciało dorosłego człowieka, i utrzymywać go nawet w czasie ostatnich konwulsji, także mocnych, rozumie się, że nie mógł on być montowany na szczycie wąskim i niewygodnym, jakim jest Kalwaria.

[por. J 19,19-22; Mt 27,37; Mk 15,26; Łk 23,38] Przed podaniem Jezusowi krzyża zawieszają Mu na szyi tablicz z napisem: “Jezus Nazarejczyk, Król Żydów”. Sznur, na którym ona wisi, zaczepia się o koronę powodując, że porusza się i drapie miejsca, w których jeszcze nie ma zadraśnień, i wbija się w nowe miejsca, zadając nowy ból i sprawiając, że znowu płynie krew. Ludzie śmieją się sadystyczną radością, znieważają, bluźnią.

Teraz są gotowi i Longin daje rozkaz wymarszu:

«Najpierw Nazarejczyk, za Nim – dwóch złoczyńców. Jedna dekuria wokół każdego, siedem innych – na skrzydłach, jako wzmocnienie. Jeśli któryś żołnierz zrani śmiertelnie skazańców, odpowie za to.»

Jezus schodzi po trzech schodach, prowadzących z sieni na plac. Od razu widać, że jest ogromnie osłabiony. Chwieje się schodząc po trzech stopniach. [Ruchy] krępuje Mu krzyż spoczywający na ramieniu, całym poranionym; tabliczka, która porusza się z przodu, i jej sznur wrzynający się w szyję; kołysanie, w jakie wprawia ciało długa część krzyża, podskakującego na stopniach i na nierównościach podłoża.

Żydzi śmieją się, widząc Go zataczającego się jak pijany. Krzyczą do żołnierzy:

«Popchnijcie Go! Niech upadnie! W proch bluźniercę!»

Lecz żołnierze robią jedynie to, co muszą. To znaczy rozkazują Skazanemu iść środkiem drogi. Longin spina konia ostrogami i pochód powoli rusza w drogę. Longin chciałby też przejść jak najszybciej, idąc na Golgotę trasą najkrótszą, bo nie jest pewny wytrzymałości Skazańca. Lecz te rozwścieczone męty – a nazwać ich tak to jeszcze dla nich zaszczyt – nie chcą tego. Ci, którzy byli najbardziej przebiegli, są już na przedzie, na skrzyżowaniu, tam, gdzie droga się rozwidła, idąc albo przy murach, albo ku miastu. Są wzburzeni, wrzeszczą, widząc, że Longin zamierza iść drogą przy murach.

«Nie wolno ci! Nie wolno! To niezgodne z prawem! Prawo mówi, że skazańcy muszą być widziani w mieście, w którym zgrzeszyli!»

Żydzi zamykający pochód pojmują, że tam na przedzie próbuje się ich pozbawić ich prawa, i dołączają swe krzyki do wrzasku kompanów.

Dla zachowania spokoju Longin skręca w drogę wiodącą ku miastu i przemierza kawałek. Daje jednak znak dekurionowi, aby się do niego zbliżył (mówię “dekurion” tylko dlatego, że to żołnierz z jakimś stopniem, być może nazwalibyśmy go ordynansem) i mówi mu coś po cichu. Ten wraca do tyłu kłusem i po kolei przekazuje rozkaz dowódcy każdej dekurii. Następnie powraca do Longina, aby powiedzieć, że wykonał [polecenie]. W końcu wraca na swe miejsce, do szeregu za Longinem.

Jezus posuwa się naprzód, zadyszany. Każda dziura w drodze jest pułapką dla Jego chwiejącej się stopy i udręką dla Jego poranionych ramion, dla Jego głowy ukoronowanej cierniem, na którą pada prostopadle słońce, nadmiernie rozpalone. Chowa się ono wprawdzie od czasu do czasu za zasłonę z ołowianych chmur, lecz nawet ukryte nie przestaje palić. Jezus jest przekrwiony ze zmęczenia, od gorączki i od upału. Myślę, że nawet światło i krzyki muszą Go dręczyć. On jednak nie może zakryć sobie uszu, aby nie słyszeć wulgarnych krzyków. Przymyka oczy, by nie widzieć drogi oślepiającej z powodu silnego słońca... Musi je jednak otwierać, bo potyka się o kamienie i o dziury. Za każdym razem, kiedy się potyka, odczuwa ból, bo gwałtownie porusza krzyżem, który uderza o koronę, przemieszcza się na poranionym ramieniu, poszerza rany i zwiększa cierpienie.

Żydzi nie mogą Go już uderzać bezpośrednio, a mimo to leci jeszcze jakiś kamień i dosięga uderzenie kijem. Kamienie – szczególnie na małych placach wypełnionych tłumem; uderzenia natomiast – na zakrętach, na małych uliczkach. Na nich Jezus pnie się w górę, pokonuje schody, czasem jeden, czasem trzy, czasem więcej, z powodu stałych różnic poziomów miasta. Tam pochód z konieczności zwalnia i zawsze jest kilku chętnych, którzy odważnie stawiają czoła rzymskim włóczniom, aby zadać nowe uderzenie Jezusowi udręczonemu już ponad miarę.

Żołnierze osłaniają Go, jak mogą, ale nawet broniąc Go, uderzają Go, bo długie drzewce włóczni, którymi wywijają w tak niewielkiej przestrzeni, potracają Jezusa i [sprawiają, że się] potyka. Lecz doszedłszy do pewnego punktu, żołnierze wykonują bezbłędny manewr i – pomimo krzyków oraz gróźb – pochód skręca nagle drogą prowadzącą bezpośrednio ku murom, co bardzo skraca wędrówkę do miejsca kaźni.

Jezus coraz bardziej dyszy. Pot płynie po Jego twarzy a także – krew, wypływająca z ran spowodowanych przez koronę cierniową. Kurz przykleja się do Jego wilgotnej twarzy i znaczy ją dziwnymi plamami, gdyż jest teraz i wiatr. Jego podmuchy są nagłe, po dłuższych przerwach. Wtedy opada pył, który z powodu tłumy wzbił się tumanami, weiskając brud do oczu i gardła.

Przy Bramie Sędziowskiej znajduje się już wielu stłoczonych [ciekawskich]. Ci przewidujący już o wczesnej porze zajęli dobre miejsca, by widzieć. Przed dojściem tam Jezus już by się przewrócił. Jedyne szybkie działanie żołnierza, na którego niemalże upadł, przeszkodziło Jezusowi znaleźć się na ziemi. Motłoch śmieje się i krzyczy:

«Zostawcie Go! Wszystkim mówił: “Powstańcie!”. Niech teraz sam się podniesie...»

Za bramą znajduje się strumyk i mały most. To nowe utrudnienie dla Jezusa, który musi przejść po rozszczepionych deskach, powodujących silne podskakiwanie długiej belki krzyża. I nowe źródło pocisków żydowskich... Kamienie potoku lecą i uderzają biednego Męczennika...

Zaczęła się wspinaczka na Kalwarię. Droga z rozrzuconych kamieni jest odsłonięta, bez jakiegokolwiek cienia. a. Prowadzi bezpośrednio do szczytu.

Kiedy jeszcze mogłam czytać, wyczytałam, że Kalwaria miała tylko kilka metrów wysokości. Możliwe. Z pewnością nie jest to góra. Jest to jednak wzgórze nie niższe niż w Lungarni góra Krzyży – tam gdzie znajduje się Bazylika S. Miniato we Florencji. Powie się: “O! To nic takiego!” Tak, to nic takiego dla kogoś, kto jest zdrowy i silny. Wystarczy jednak mieć słabe serce, aby odczuć, czy to jest mało czy dużo!... Wiem, że po chorobie serca – a była to niewielka słabość – nie mogłam wejść na to wzniesienie bez wielkiego cierpienia i musiałam się zatrzymywać co chwila, a przecież nie miałam na ramionach tego brzemienia. A sądzę, że Jezus miał serce bardzo chore, zwłaszcza po ubiczowaniu i poceniu się krwią... i rozmyślałam tylko nad tymi dwoma sprawami.

Jezus odczuwa więc dotkliwy ból idąc w górę, a ponadto z powodu ciężaru krzyża, który – tak długi – musi być też bardzo ciężki. Natyka się na wysunięty kamień. Wyczerpany podnosi stopę niewystarczająco wysoko i upada. Przewraca się na prawe kolano, choć udaje Mu się podeprzeć przy pomocy lewej ręki. Tłum wydaje radosne okrzyki...

Jezus wstaje. Idzie naprzód, coraz bardziej pochylony i zadyszany, przekrwiony, palony gorączką...

Kołysząca ę przed Nim tabliczka zasłania Mu widok. Jego długa szata, teraz – gdy idzie pochylony – dotyka ziemi z przodu, przeszkadzając Mu w marszu. Jezus więc potyka się znowu i upada na dwa kolana, kalecząc się ponownie tam, gdzie jest już zraniony. Krzyż zaś, wysuwając Mu się z rąk, upada i uderza Go silnie w plecy. Zmusza Go to do pochylecia się. Jezus podnosi go i na nowo mozolnie wkłada na ramiona. Gdy to robi, widać wyraźnie na Jego prawym ramieniu ranę zadaną ocieraniem przez krzyż, który otwarł też liczne rany spowodowane bicowaniem. [Krzyż] zrobił z nich jedną [wielką ranę]. Sączy się z niej woda i krew, tak że tunika jest cała poplamiona w tym miejscu. Ludzie nawet klaszczą. Są szczęśliwi widząc Jego tragiczne upadki...

Longin przynagla i żołnierze – lekkimi pchnięciami sztyletami – zmuszają biednego Jezusa do postępowania naprzód. Podejmują marsz, coraz powolniejszy mimo wszystkich wysiłków. Jezus tak się zatacza w Swym marszu, iż wydaje się zupełnie pijany. Uderza to o jeden, to o drugi szpaler żołnierzy, zajmujących całą drogę. Ludzie zauważają to i krzyczą:

«Jego nauka uderzyła Mu do głowy! Zobaczcie, zobaczcie, jak się chwieje!»

Inni zaś – ci, którzy nie są zwykłym ludem, lecz *kapłanami i uczonymi w Piśmie* – śmieją się szyderczo:

«Nie! To uczyły w domu Łazarza jeszcze Mu uderzają do głowy. Dobre były? Teraz jedz *nasz* pokarm...»

I [słysząc] inne, podobne zdania.

Longin, który odwraca się od czasu do czasu, lituje się i nakazuje kilkuminutowy postój. Pospółstwo tak go znieważa, że centurion rozkazuje oddziałom atakować. Tłum ustępuje na widok włóczy błyszczących i groźnych, odsuwa się z krzykiem i schodzi tu i tam z góry.

Widzę, jak wychodzi zza ruin – być może są to jakieś zawalone murki – mała grupa pasterzy. Zrozpaczeni, wstrząśnięci, zakurzeni, obdarci. Przywołują do siebie Nauczyciela siłą swych spojrzeń. Jezus odwraca głowę. Widzi ich... Utkwił w nich wzrok, jakby to były oblicza aniołów. Wydaje się, że gasi pragnienie i wzmacnia się tymi łzami. Uśmiecha się...

Ponownie pada rozkaz wymarszu. Jezus przechodzi tuż obok pasterzy i słyszy ich udręczony płacz. Odwraca z trudem głowę pod brzemieniem krzyża i znowu się uśmiecha..

Jego pociechy: dziesięć twarzy, postój w palącym słońcu... A potem zaraz ból trzeciego całkowitego upadku. Tym razem to nie jest potknięcie: Jezus przewraca się z powodu nagłej utraty sił, z powodu omdlenia. Upada, uderzając twarzą o porozrzucone kamienie. Pozostaje w pyłe, pod krzyżem, który na Niego się przewrócił. Żołnierze usiłują Go podnieść, lecz On wydaje się martwy. Idą donieść o tym centurionowi. W czasie gdy idą i wracają, Jezus odzyskuje przytomność. Powoli z pomocą dwóch żołnierzy – z których jeden podnosi krzyż, a drugi pomaga Skazanemu wstać – podnosi się i staje na nogach. Jest naprawdę wyczerpany.

«Zróbcie tak, żeby umarł dopiero na krzyżu!» – krzyczy tłum.

«Jeśli wcześniej doprowadzicie do Jego śmierci, odpowiecie przed Prokonsulem, pamiętajcie! Winny musi żywy dojść na miejsce stracenia» – mówią żołnierzom najważniejsi z uczonych w Piśmie.

Ci przeszywają ich okrutnymi spojrzeniami, lecz z powodu karności nie odzywają się. Longin odczuwa tę samą obawę, co żydzi, że Chrystus umrze w drodze, i nie chce mieć kłopotów. Nie ma potrzeby przypominania mu o tym. Wie, jakie jest jego zadanie jako dowodzącego egzekucją, i dopilnuje tego. Podejmuje odpowiednie kroki. Wprowadza w błąd żydów, którzy ze wszystkich stron góry weszli na drogę i pobiegli nią do przodu. Złani potem, wdrapując się – ażeby przejść poprzez rzadkie i ciemne krzewy góry, wysuszonej i spalonej – wpadają na zwaliska, które ją tarasują, jakby to było miejsce wyrzucania śmieci z Jerozolimy. Nie troszczą się o nic więcej jak tylko o to, żeby nie przeoczyć żadnego dyszenia Męczennika, któremu zabrakło tchu, żadnego z Jego bolesnych spojrzeń, żadnej, nawet bezwiednej oznaki cierpienia. Nie lękają się o nic innego jak tylko o to, że nie zajmą dobrego miejsca. Longin daje rozkaz, żeby udać się dalej drogą najdłuższą, która wznosi się spiralnie na szczyt, i dlatego marsz jest dłuższy.

Wydaje się ona ścieżką, która z powodu częstego chodzenia po niej przekształciła się w drogę dosyć wygodną. Skrzyżowanie z drugą drogą odbywa się gdzieś w połowie góry. Widzę, że wyżej droga bezpośrednia przecina się cztery razy z tą, o wiele mniej stromą, która za to jest o wiele dłuższa. Na tej drodze również są ludzie. Idą nią w górę, lecz *nie uczestniczą* w okrutnej wrzawie opętańców, idących za Jezusem po to, ażeby cieszyć się z Jego udręk. Są to w większości niewiasty we łzach i z zasłonami na twarzach oraz kilka małych grup mężczyzn. Są naprawdę bardzo małe. Znajdują się o wiele bardziej w przedzie niż niewiasty. Tracę ich z oczu, gdy droga okrąży górę. Tutaj Kalwaria ma rodzaj wybrzuszenia z jednej strony, a z drugiej jakby się osuwała. Mężczyźni znikają za kamienistym miejscem i już ich nie widzę.

Usiłuję dla oddania wyglądu tej góry narysować jej kształt. Potrzebowałabym jednak większej kartki, bo na tej mam zbyt mało miejsca.

Ludzie, którzy szli za Jezusem, wyją wściekle. Piękniejszy był dla nich widok Jego upadków. Rozdzielają się [na grupy], nieprzyzwoicie złorzecząc Skazańcowi i tym, którzy Go prowadzą. Jedni udają się w pogoń za karnym pochodem, a inni – niemalże biegiem wspinają się drogą szybko, aby powetować sobie zawód zajęciem doskonałego miejsca na szczycie.

[por. Łk 23,27-31] Niewiasty, które idą płacząc, odwracają się słysząc krzyki. Widzą, że pochód skręca w ich stronę. Zatrzymują się więc. Przywierają do stoku w obawie, że gwałtowni żydzi strącą je w dół. Jeszcze mocniej opuszczają zasłony na twarze. Jest też jedna, całkowicie zakryta jak mużulmanka. Ma odsłonięte tylko bardzo czarne oczy. Ich szaty są bogate i mają do swej obrony starszego człowieka potężnej budowy, owiniętego płaszczem tak, że nie rozpoznają jego twarzy. Widzę jedynie długą brodę, raczej siwą, wysuwającą się spod ciemnego płaszcza.

Kiedy Jezus podchodzi do nich, szlochają głośniej i pochylają się w głębokich ukłonach. Potem idą stanowczym krokiem naprzód. Żołnierze mają zamiar odepchnąć je włóczniami, lecz ta, która jest okryta jak mużulmanka, odchyła na chwilę zasłonę przed dowodzącym. Przybył on na koniu, żeby zobaczyć nową przeszkodę, lecz daje rozkaz, aby ją przepuścić.

Nie mogę ujrzeć ani jej twarzy, ani jej szaty, bo odkryła zasłonę z szybkością błyskawicy, a jej szata jest całkowicie ukryta pod płaszczem, opadającym aż do ziemi, ciężkim, zupełnie zamkniętym całym rzędem zapinek. Widzę jedynie jej dłoń, którą na chwilę wysunęła spod niego, by odchylić zasłonę. Dłoń ma białą i piękną, oczy – bardzo ciemne. Tyle tylko widać. Musi to być z pewnością ważna dama i wpływowa, bo adiutant Longina natychmiast ulega.

Niewiasty podchodzą z płaczem do Jezusa. Upadają na kolana u Jego stóp, On zaś zatrzymuje się, zdyszany... a jednak potrafi się jeszcze uśmiechnąć do tych współczujących niewiast i do męża, który je eskortuje i odkrywa oblicze, by się ukazać. To Jonatan. Jego jednak straż nie przepuszcza. Tylko niewiasty. Jedna z nich to Joanna, małżonka Chuzy. Jest bardziej wyniszczona niż wtedy, gdy była umierająca. Czerwone ma tylko ślady łez, a całe śnieżnobiałe oblicze z jej łagodnymi czarnymi oczyma, tak teraz błyszczącymi, stało się ciemnofioletowe jak niektóre kwiaty. Ma w dłoniach srebrną amforę i ofiarowuje ją Jezusowi, lecz On odmawia. Zresztą Jego zadyszka jest tak wielka, że nie mógłby nawet pić. Lewą ręką ociera pot i krew. Spływa Mu ona do oczu, sączy się po czerwonych policzkach i szyi, z żył nabrzmiąłych przez dyszące bicie serca, moczy całą Jego szatę na piersi.

Inna niewiasta – która ma obok siebie młodą służącą ze skrzyneczką w rękach – otwiera ją i wyciąga z niej bardzo biały, czworokątny ręcznik i ofiarowuje go Odkupicielowi. Jezus przyjmuje go. Ponieważ jednak nie może Swą jedyną wolną ręką otrzeć się sam, niewiasta, pełna litości, pomaga Mu. Uważając, żeby nie poruszyć Jego korony, przykładą tkaninę do twarzy. Jezus przyciska świeże płótno do biednej twarzy i trzyma je, jakby znajdował w tym wielkie pokrzepienie. Potem oddaje tkaninę i mówi:

«Dziękuję, Joanno... dziękuję, Niko... Saro... Marcelo... Elizo... Lidio... Anno... Walerio... i tobie... Lecz... nie płaczcie... nade Mną... córki... Jerozolimy... lecz nad grzechami... waszymi i... waszego miasta... Błogosław... Joanno... że nie masz... już dzieci... Widzisz... to zmiłowanie Boga... nie... nie mieć teraz dzieci... bo... one cierpią... przez to. A ty też... Elizo... lepiej... tak... niż [żeby były] pomiędzy bogobójcami... A wy... matki... płaczcie nad...

waszymi synami, bo... ta godzina nie przejdzie... bez kary... I to jakiej kary, skoro tak postępują z Niewinnym... Będziecie wtedy płakać... że poczęłyście... karmiłyście i... że miałyście jeszcze... dzieci... Matki... w tym momencie... zapłaczą, bo... zaprawdę, mówię wam... szczęśliwy będzie... kto wtedy... pierwszy... upadnie... pod ruinami. Błogosławię was... Idźcie... do domu... módlcie się... za Mnie. Żegnaj, Jonatanie... zabierz je stąd...»

I Jezus rusza w dalszą drogę, pośród przenikliwego płaczu niewiast i przekleństw żydów.

Jest znowu zlany potem. Żołnierze także są spoceni i dwóch innych skazańców, bo słońce tego burzowego dnia pali jak płomień, a rozpalone zbocze góry dołącza się do żaru słońca. Jakie musiało być działanie słońca na wełniane ubranie Jezusa, dotykające ran ubiczowania, można sobie łatwo wyobrazić i przerazić się... On jednak nie wypowiada ani jednej skargi. Jedynie – choć droga jest o wiele wolniejsza i nie ma na niej rozrzuconych kamieni, tak niebezpiecznych dla Jego wlokących się stóp – Jezus coraz bardziej się zatacza. Potrąca to jeden, to drugi rząd żołnierzy i pochyla się coraz bardziej ku ziemi. Wymyślają więc – żeby usunąć tę niedogodność – obwiązanie Go w pasie sznurem, którego dwa końce trzymają tak, jakby to były lejce. Tak, to Go podtrzymuje, ale nie odbiera Mu Jego brzemienia. Przeciwnie, sznur – zahaczając o krzyż – stale przesuwa go na ramieniu i sprawia, że uderza w koronę, która już uczyniła na czole Jezusa krwawiący tatuaż. W dodatku sznur ociera w pasie, gdzie znajduje się tak wiele zranień, i z pewnością muszą się one otwierać na nowo. Także biała tunika nabiera w pasie koloru różowego. Chcąc pomóc, zadają Mu jeszcze większe cierpienie.

Droga prowadzi dalej, okrążając górę. Dochodzi do ścieżki stromej. Maryja z Janem znajduje się w miejscu, które zaznaczyłam na rysunku. Jan przyprowadził Ją w to zacienione miejsce chyba po to, aby trochę odpoczęła. To miejsce najbardziej strome na całej górze. Tu jest tylko ta droga. Zbocze opada stromo w dół, a w górę stromo się wznosi. Z tego powodu okrutnicy nią gardzą. Jest tutaj cień, bo to – jak się wydaje – strona północna. Maryja, oparta o stok, jest z dala od słońca. Stoi, opierając się o ziemię – [jeszcze] na nogach, lecz już wyczerpana. Jest w Swej ciemnoniebieskiej szacie, niemal czarnej. Ciężko oddycha, jest blada jakby była martwa.

Jan patrzy na Nią z pełną rozpaczą litością. On także utracił wszelki ślad koloru. Jest ziemisty, ze zmęczonymi i mocno rozwartymi oczyma. Nieuczestny, policzki zapadnięte, jakby był chory. Inne niewiasty: Maria i Marta, siostry Łazarza, Maria Alfeuszowa i Maria, małżonka Zebedeusza, Zuzanna z Kany, pani domu [wieczernika] i jeszcze inne, których nie znam, stoją na środku drogi i patrzą, czy Pan nadchodzi. Zobaczywszy zbliżającego się Longina, biegną z tą wiadomością do Maryi. Maryja, podtrzymywana za łokieć przez Jana, odrywa się, dostojna w Swym bólu, od zbocza góry i pewnym krokiem wchodzi na środek drogi. Usuwa się dopiero po przybyciu Longina, który z wysokości konia patrzy na tę bladą niewiastę i tego, który Jej towarzyszy: jasnowłosego, bladego o łagodnych niebieskich oczach, jak Ona. Longin potrząsa głową, mijając Ją w grupie jedenastu jeźdźców.

Maryja próbuje jeszcze przejść pomiędzy idącymi pieszo żołnierzami. Ci jednak – ponieważ jest im gorąco i śpieszą się – chcą Ją odepchnąć włóczniami, tym bardziej że z kamienistej drogi lecą kamienie w proteście dla tak wielkiej litości. To znowu żydzi rzucają je, dorzucając przekleństwa z powodu zatrzymania się z litościwymi niewiastami. Mówią:

«Szybko! Jutro jest Pascha. Trzeba wszystko skończyć przed wieczorem! Wspólnicy! Lekceważycie nasze Prawo! Ciemńczycy! Śmierć najeźdźcom i ich Chrystusowi! Kochają Go!

Patrzcie, jak Go kochają! Weźcie Go więc sobie! Weźcie Go do waszego przeklętego miasta! Odstępujemy wam Go! Nie chcemy Go! Padlina – bydłom! Trąd – trędowatym!»

Znużony Longin spina wierzchowca, a za nim podąża innych dziesięciu żołnierzy na koniach, ruszając na ujadającego i znieważającego go człowieka. Ten jednak po raz drugi ucieka.

[por. Mt 27,32; Mk 15,21; Łk 23,26] W tym momencie Longin zauważa stojący wóz. Z pewnością podjechał tam z ogrodów znajdujących się u stóp góry i czeka ze swoim załadunkiem jarzyn, aż tłum przejdzie, aby dotrzeć do miasta. Sądzę, że również nieco ciekawości Cyrenejczyka i jego synów spowodowało, że doszli aż tutaj, bo wcale nie musieli tego robić. Dwaj synowie leżą na stosie jarzyn, patrzą i śmieją się z uciekających żydów. Mężczyzna zaś – mąż o potężnej budowie, mający jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat – stoi przy osle, który ze strachu chce się cofnąć. Patrzy uważnie na pochód.

Longin przygląda mu się. Sądzi, że może mu się przydać i nakazuje mu: «Człowieku, podejdź tutaj.»

Cyrenejczyk udaje, że nie słyszy, lecz z Longinem nie ma żartów. Powtarza rozkaz takim głosem, że mąż rzuca lejce synom i podchodzi do centuriona.

«Widzisz tego człowieka?» – pyta go. Mówiąc to, odwraca się, aby pokazać Jezusa, i widzi, że Maryja błaga żołnierzy, aby pozwolili Jej przejść. Zdjęty litością woła:

«Pozwólcie przejść tej Niewieście!»

Potem dalej rozmawia z Cyrenejczykiem:

«On już dalej nie może iść z takim brzemieniem. Jesteś silny. Weź jego krzyż i zanieś go na miejsce, na sam szczyt.»

«Nie mogę... Mam osła... jest uparty... chłopcy nie potrafią go utrzymać.»

Ale Longin mówi:

«Ruszaj, jeśli nie chcesz stracić osła i zarobić dwudziestu razów za karę.»

Cyrenejczyk już się nie ośmiela reagować. Woła do chłopców:

«Idźcie szybko do domu i powiedzcie, że zaraz przyjdę!»

Potem idzie w stronę Jezusa. Dochodzi do Niego akurat w chwili, gdy odwraca się On do Swojej Matki. Jezus dopiero teraz zauważył, że Maryja idzie w Jego kierunku. Szedł bowiem tak pochylony i z oczami niemal zamkniętymi, jakby był ślepy. Woła:

«Mamo!»

To pierwsze słowo, odkąd jest dręczony, wyrażające Jego cierpienie. W tym bowiem słowie jest wyznanie wszystkiego: całej Jego straszliwej udreki ducha, psychiki i ciała. To przejmujący i rozdzierający krzyk dziecka, które umiera osamotnione, otoczone dręczycielami, pośród najgorszych tortur... i które boi się już nawet Swego własnego



oddechu. To skarga dziecka, majaczącego, wstrząsanego przez wizje koszmarów... I chce mamy, mamy... bo już sam Jej pocałunek koi żar gorączki, Jej głos przegania zjawy, a Jej uścisk czyni śmierć mniej przerażającą...

Maryja unosi rękę do serca, jakby zadano Jej cios sztyletem. Lekko się chwieje, lecz opanowuje się. Przyspiesza kroku i idzie z ramionami wyciągniętymi do Swego umęczonego Syna, wołając:

«Synu!»

A mówi to w taki sposób, że kto nie ma serca hieny, ten czuje, jak mu się ono kraje, pod wpływem takiego bólu.

Widzę, że nawet pośród Rzymian jest pełne litości poruszenie... A przecież są to wojskowi, przyzwyczajeni do mordów, naznaczeni bliznami... Lecz słowa: “Mamo!” i “Synu!”, brzmią zawsze tak samo dla wszystkich, którzy – powtarzam – nie są gorsi od hien. Wszędzie są wypowiedane i rozumiane, wszędzie wywołują przypływ litości...

Cyrenejczyk odczuwa tę litość... Widzi, że Maryja nie może pocałować Syna z powodu krzyża i że po wyciągnięciu ramion opuściła je, przekonana, że nie może tego uczynić. Patrzy tylko na Jezusa, próbuje się uśmiechnąć Swym męczeńskim uśmiechem, aby Go pocieszyć, podczas gdy Jej drżące wargi piją Jego łzy. On zaś, przekręcając głowę pod jarzmem krzyża, też usiłuje się do Niej uśmiechnąć i posłać pocałunek Swymi biednymi wargami, zranionymi i popękkanymi od ciosów i gorączki. Cyrenejczyk, widząc to, spieszy się, aby wziąć krzyż. Robi to z delikatnością ojca, aby nie potrącić korony i nie ocierać ran.

Maryja jednak nie może pocałować Swego Syna... Nawet najłżejsze dotknięcie byłoby męką dla porozrywanej skóry, dlatego powstrzymuje się od tego. Poza tym... najświętsze uczucia mają głęboką wstydlivość i pragną szacunku lub przynajmniej współczucia. Tutaj zaś jest ciekawość, a przede wszystkim – pogarda. Całują się tylko ich dwie udręczone dusze. Orszak ponownie rusza w drogę pod naporem napływającego tłumu wściekłych ludzi. Napierają oni i rozdzielają Ich. Odpychają Matkę w stronę zbocza góry, wystawiając Ją na pośmiewisko całego ludu... Teraz za Jezusem podąża Cyrenejczyk z krzyżem. Jezusowi, uwolnionemu od tego brzemienia, idzie się łatwiej. Bardzo głośno oddycha, często podnosi rękę do serca, jakby odczuwał wielki ból, ranę w okolicy mostkowo-sercowej. Teraz nie ma już związanych rąk, dlatego może odgarnąć za uszy włosy, które spadały z przodu, całkiem posklejane od krwi i potu. Robi to, aby odczuć powietrze na Swym posiniałym obliczu. Rozluźnia sznur na szyi, który sprawia Mu ból przy oddychaniu... Lecz Jego marsz jest już łatwiejszy.

Maryja usunęła się z niewiastami. Potem idzie z tyłu pochodu, kiedy już przeszedł, a następnie, skrótem, kieruje się na szczyt wzniesienia, unikając obelg krwiożerczego motłochu. Teraz gdy Jezus jest swobodny, ostatni łuk góry pokonują już dość szybko i są blisko wierzchołka całkowicie przepełnionego wykrzykującymi ludźmi.

Longin zatrzymuje się i rozkazuje, aby *wszyscy, bez litości*, zostali usunięci niżej po to, żeby szczyt, miejsce egzekucji, był wolny. Połowa centurii wykonuje bezlitośnie rozkaz, wbiegając na małą przestrzeń i spychając wszystkich, którzy się na niej znajdują, posługując się w tym celu sztyletami i włóczniami. Pod gradem uderzeń płazem i ciosów żydzi uciekają z wierzchołka. Chcieliby wszyscy znaleźć miejsce na wyrównanym terenie, który znajduje się

poniżej. Jednak ci, którzy już tam są, nie ustępują i wśród ludzi dochodzi do okrutnych bójek. Wszyscy wydają się szaleni.

Jak to powiedziałam w zeszłym roku, szczyt Kalwarii ma kształt nieregularnego trapezu, lekko wzniesionego jednym bokiem. Od niego góra stromo opada aż do połowy swojej wysokości. Na tym małym miejscu są już gotowe trzy głębokie dziury wyłożone ceglami lub łupkami. Specjalnie je wykonano. Blisko nich są kamienie i ziemia, gotowe dla zamocowania krzyży. Inne dziury natomiast są zasypane kamieniami. Domyślam się, że opróżniają je w zależności od tego, ile ich potrzeba.

Na trapezoidalnym wierzchołku – od strony, gdzie góra nie opada [bardzo stromo] – jest coś w rodzaju platformy, formującej na łagodnym wzniesieniu drugi mały plac. Z niego wychodzą dwie szerokie ścieżki, które okrążają szczyt, tak że jest on odizolowany i wzniesiony [ponad nie] o co najmniej dwa metry ze wszystkich stron.

Żołnierze, którzy zepchnęli tłum ze szczytu, kładą kres bójkom zdecydowanymi uderzeniami włóczni i torują przejście, aby orszak mógł bez przeszkód przejść pozostały ostatni odcinek drogi. Pozostają tam, tworząc zaporę. Tymczasem trzej skazańcy – otoczeni żołnierzami na koniach i chronieni z tyłu przez drugą połowę centurii – dochodzą do punktu, w którym muszą się zatrzymać: do stóp naturalnej płaszczyzny, podwyższonej, która formuje wierzchołek Golgoty.

Kiedy to się dzieje, zauważam Maryję i – nieco w tyle – Joannę, małżonkę Chuzy, z czterema damami, które widziałam wcześniej. Inne wycofały się. Musiały to zrobić same, bo Jonatan jest tam, za swoją panią. Nie ma już tej, którą my nazywamy Weroniką – a do której Jezus mówił: “Niko”. Nie ma też jej służącej ani tej całkowicie zakrytej damy, której żołnierze byli posłuszni. Widzę Joannę, starszą kobietę, którą nazywają Elizą, Annę i dwie inne jeszcze, których nie potrafię zidentyfikować. Za tymi niewiastami i Mariami widzę Józefa i Szymona, synów Alfeusza, oraz Alfeusza, syna Sary, z grupą pasterzy. Walczyli z tymi, którzy chcieli ich odepchnąć, znieważając ich. Jednak siła tych mężczyzn – powiększona przez miłość i ból – okazała się tak gwałtowna, że zwyciężyli, tworząc wolne półkole. Tchórzliwi żydzi potrafili tylko wznosić pod ich adresem okrzyki [domagające się] śmierci i wyciągać pięści. Ale nic więcej, bo kije pasterzy mają sęki i są ciężkie... i nie brak siły i celów [uderzeń] tym dzielnym [ludziom]. I nie myślę się tak ich określając. Trzeba bowiem prawdziwej odwagi, żeby pozostać – przeciw wszystkim tym wrogim ludziom – w grupie tak nielicznej, rozpoznanej jako Galilejczycy lub wierni Galilejczykowi. To jedyne miejsce z całej Kalwarii, na którym nie bluźni się Chrystusowi!

Góra o trzech zboczach, które łagodnie zstępują ku dolinie, jest jednym wielkim ludzkim mrowiskiem. Ziemi, żółtawej i ogołoconej, już nie widać. Pod słońcem, które się pojawia i znika, wydaje się ona ukwieconą łąką z różnokolorowymi koronami kwiatów, tak są stłoczone nakrycia głowy i płaszcze noszących je sadystów. Za strumieniem, na drodze, inne skupisko, poza murami – jeszcze inne. Na najbliższych tarasach – kolejne. Reszta miasta – naga... pusta... milcząca. Wszystko jest tutaj: cała miłość i cała nienawiść; całe Milczenie, które kocha i przebacza; cała Wrzawa, która nienawidzi i złoścoczy.

Podczas gdy mężczyźni wyznaczeni do egzekucji przygotowują narzędzia i kończą opróżnianie dziur [w ziemi], żydzi – którzy schronili się w kącie, naprzeciw kilku Marii – ubliżają skazańcom czekającym w swoim kwadracie. Znieważają nawet Matkę:

«Śmierć Galilejczykom! Śmierć! Galilejczycy! Galilejczycy! Przeklęci! Śmierć galilejskiemu bluźniercy! Przybijcie do krzyża też łono, które Go nosiło! Precz stąd żmije, które rodzą demony! Na śmierć! Oczyśćcie Izrael z niewiast, które się łączą z kozłami!...»

Longin, który zsiadł z konia, odwraca się i widzi Matkę... Rozkazuje uciszyć tę wrzawę. Połowa centurii, która była za skazanymi, naciera na motłoch i całkowicie oczyszcza drugą część placu. Żydzi umykają z góry, depcząc się nawzajem. Jedenastu jeźdźców schodzi z koni. Jeden z żołnierzy bierze wszystkie konie – oprócz tego, który należy do centuriona. Prowadzi je do cienia, za zbocze, które oznaczyłam [na rysunku] jako B.

Centurion kieruje się ku szczytowi. Joanna, małżonka Chuzy, zatrzymuje go. Podaje mu amforę i sakiewkę, a potem odchodzi z płaczem w tę stronę, gdzie znajdują się inni.

Tam, w górze, wszystko jest przygotowane. Wchodzą skazańcy. Jezus przechodzi jeszcze raz blisko Matki, która wydaje jęk. [Zaraz jednak] usiłuje go stłumić, podnosząc płaszcz do ust. Żydzi, widząc to, drwią z Niej.

Jan, łagodny Jan, który obejmuje ramieniem Maryję, aby ją podtrzymać, odwraca się z groźnym spojrzeniem. Jego oczy wręcz fosforyzują. Gdyby nie musiał chronić niewiast, sądzę, że rzuciłby się któremuś z tych nikczemników do gardła. Zaledwie skazani weszli na nieszczęsną płaszczyznę, a już otaczają ich żołnierze z trzech stron. Pozostaje wolna tylko strona najwyższa.

Centurion daje Cyrenejczykowi polecenie oddalenia się. Ten odchodzi teraz niechętnie, nie z powodu sadyzmu, lecz z miłości. Staje przy Galilejczykach, dzieląc z nimi zniewagi, którymi tłum zasypuje niewielką liczbę wiernych Chrystusowi.

Dwóch łotrów, bluźniąc, rzuca na ziemię krzyże. Jezus milczy. Bolesna droga zakończyła się.

## 29. UKRZYŻOWANIE

*Napisane 27 marca 1945. A, 11666-11727*

[por. Mt 27,33-34; Mk 15,22-23] Czterech muskularnych mężczyzn, którzy wyglądają mi na żydów – i to żydów godnych krzyża bardziej niż skazańcy, z pewnością pochodzących z tej samej kategorii, co biczujący – wskakuje ze ścieżki na miejsce kary. Mają na sobie krótkie tuniki bez rękawów. W rękach – gwoździe, młotki i sznury. Pokazują je skazanym, drwiąc z nich. Tłum ogarnia szal okrucieństwa.

Centurion podaje Jezusowi amforę, aby napił się mieszaniny wina z mirrą, łagodzącej ból. Jezus odmawia. Dwóch złoczyńców, przeciwnie, pije chciwie. Potem umieszczają amforę o szerokim brzegu blisko wielkiego kamienia, niemal na szczycie wzniesienia.

Dają skazańcom nakaz rozebrania się. Dwaj łotry czynią to bez żadnego zawstydzienia. Zabawiają się nawet, zwrócieni w kierunku tłumu, przybierając nieprzyzwoite pozy. [Odwracają się] szczególnie do grupy kapłanów, całych w bieli swych lnianych szat, którzy powrócili powoli na swe niewielkie miejsce, poniżej. Wykorzystali swe stanowiska, aby wcisnąć się na to miejsce. Do kapłanów przyłączyło się dwóch lub trzech faryzeuszów oraz